ROZMAITOŚCI.

Dnia 9. Kwietnia. № 15. Roku 1856.

FATALISTA.

(OBRAZEK.)

(Dokończenie. Ob. Nr. 11. 12. 13. 14. Rozmaitości.)

VI.

Już tydzień minął jak Wiktor odjechał, mówiąc że wkrótce wróci i że ma nadzieję dostać umieszczenie, ale nie powiedział dokąd jedzie. Marynia trwoży się i co chwila go wygląda, piérwszy raz jakieś złe ma przeczucia, bo piérwszy raz w życiu samą jest, daleko od serca któreby ją kochało, a ona tak kochać umie i kochaną być potrzebuje. Po odjeździe męża odebrała list od Zofii, pełen łez, i sama zapłakała wspomniawszy na dni dawne, dni szczęścia cichego i świetnych marzeń! Zofia przysłała jéj cokolwiek pieniędzy, wszystko co miała w chwili odebrania listu Wiktora; byłaby sama przyjechała, ale nie chciała wydawać na podróż; wyrzucała sobie swój pobyt za granicą, oderwanie się od siostry; — i do pana Szczepana napisała, mając u niego większe łaski niż Marynia, wzywała jego litości nad tą ostatnią.

Była to niedziela, jasny choć mroźny już dzień jesienny; Marynia przepędziła noc niespokojnie; zrana przyrządziwszy wszystko w swojéj izdebce, włożyła na siebie i dziecko jedyną odzież jaką mieli i wybrała się do kościoła. Ruch panował świątalny w miasteczku; ze wszystkich uliczek wysypywał się lud do kościoła zdążający; żydzi kramarzyli się z żandarmami zamykającemi ich sklepiki na czas nabożeństwa; zjeżdżały się téż bryczki i koczyki odwieczne, wysiadały Jejmoście w żółtych i niebieskich kapeluszach i szły do kościoła, jedne aby się pomodlić, drugie aby się coś dowiedzieć, pogadać z sąsiadkami, pokazać nową odzież lub przypatrzyć się i skrytykować ubranie drugich. W zakrystyi ksiądz proboszcz ubrany w albę krząkał i spluwał, aby nabrać głosu, czekając z sumą na kolatora. Panowie i panie, którzy przyjechali w kolaskach, z wielką pewnością siebie wchodzili przez zakrystyą i każdy kilka słów z proboszczem zamienił; ci z bryczek, bocznemi wsuwali się drzwiami i siadali w ławkach dalszych, nie szczędząc uwag złośliwych o dostępujących honoru sąsiedztwa ławki

kolatorskiéj. Jeszcze się nabożeństwo nie rozpoczęło, kiedy weszła Marynia prowadząc swego chłopczyka za rękę i nie zważając nikogo uklękła blisko stopni ołtarza i zaczęła się modlić serdecznie, bo i boleść jéj była serdeczna; tęsknota i niepewność dwa upiory które ssą krew z serca, i wspomnienia lat szczęśliwych upłynionych bez powrotu, i teraźniejszość taka opłakana, wszystko przygniatało ją ciężarem smutku! Marynia modliła się duszą swą całą, ufną w Boga jako w jedne źródło zkąd pociecha spłynąć jéj mogła; mówiła do niego nie poruszeniem ust, ale całém swém jestestwem, wszystką myślą swoją, jak dziécię do kochającego i kochanego ojca, a siérota do Boga tylko mówi. — Na jéj widok szeptanie powstało między żółtym i zielonym kapeluszem, i udzielało się coraz daléj.

— Cóż to za Jejmościanka?

— Zkąd ona się tu wzięła?

— Co robi?

— Jak dawno tu jest?

— Czy przejeżdżająca?

— Czy ma męża?

Na te zapytania tyleż: nie wiem! były odpowiedzią i pozostały zagadką. Ale po sumie za to dalejże ją oglądać.

— Niebrzydka choć taka zapłakana.

— I dziecko ładne, podobne do niéj.

— Trzeba się dowiedzieć przecie, kto ona.

— Ale od kogo?

— Poczekajcieno panie, odezwał się żółty kapelusz dyktatorskim głosem, ja tu się dowiem wszystkiego; musi tu ktoś być taki, który wié, gdzie ona mieszka, a po nitce dojdziemy do kłębka. Ale wyjdźmy bo już po nabożeństwie.

Przed kościołem dopiéro nastąpiły głośne zapytania i rozmowy, a żółty kapelusz gdzieś zniknął. Po kwadransie zjawił się znowu, zaczęto się skupiać koło niego.

— To jakiś podejrzany interes, zabrał głos żółty kapelusz; pan kasyer mi mówił, że ona tu przyjechała z jakimś młodym człowiekiem, będzie temu dwa tygodnie pojutrze; ale wczoraj tydzień minął jak on odjechał, a podobno nie wróci więcéj, jak się pan kasyer domyśla; ona sama mieszka i niema nawet służącéj; nikt jéj tu nie zna; przyjechała najętemi końmi w nocy i nawet furman był z dalekich stron, jak mówił Szmul panu kasyerowi.

Zaczęły się znowu uwagi i domysły, a żółty kapelusz wsiadłszy do dryndulki jeszcze powtarzał z niepokojem do sąsiadki:

— No proszę i nie dowiedzieliśmy się kto to taki, a odebrała list z poczty z pieniędzmi i pan kasyer nie zdążył zobaczyć nazwiska na adresie — nieodżałowana szkoda!

— Nieodżałowana, — powtórzyła sąsiadka!

A Marynia, przedmiot tych plotek, wracała smutnie do swéj izdebki. Usiadła przy oknie i załamała ręce; raziło ją wesołe słońce i blask jego sprzeczny z usposobieniem jéj duszy trapionéj obawą o męża, o przyszłość. Gwar ludzi powracających z kościoła raził ją boleśnie, bo myślała że każdy z nich wraca do rodziny, do swoich, a ona nie miała nikogo prócz dziecka osieroconego

z nią razem i niezdolnego jeszcze podzielić jéj udręczenia. Biédna, zaczęła wątpić aby dla niéj wróciły jeszcze dni wesołe domowego szczęścia! Myśli te bolesne przerwało jéj stukanie do drzwi; poszła otworzyć z pośpiechem nadziei; — był to list od Wiktora, Marynia najprzód podziękowała Bogu westchnieniem, a potém list otworzyła. Pisał ze Lwowa. Donosił o swéj bytności u pana Szczepana i o daremnych usiłowaniach dostania u niego posady; mówił że we Lwowie lepsze są dla niego widoki, że spodziewa się wkrótce módz wrócić i zabrać ją z sobą; ale nie donosił jakie jego plany, w jaki sposób i w jakim zawodzie znajdą utrzymanie; list był wprawdzie serdeczny ale w ogólnikach, i zasmucił Marynię zamiast ją pocieszyć. Jednak uspokoiła się cokolwiek, wiedziała przynajmniéj, gdzie Wiktor się znajduje, mogła pisać do niego i zapytać o szczegóły, których jéj skąpił. Uczyniła to, ale minął miesiąc bez odpowiedzi. Marynia kilkakrotnie pisała, ale smutne to zaspokojenie gorączki niepokoju przetwarzać ją w słowa i oddawać poczcie, kiedy dusza stęskniona wyrywa się ku ukochanéj istocie, oddalonéj i milczącéj.

Nakoniec przyszedł list drugi. Wiktor posyłał małą sumkę na jéj utrzymanie, prosząc aby parę dni była cierpliwa, bo on wróci z pewnością i już się nie rozłączą więcéj nigdy na tak długo — ale więcéj nie pisze, bo on wróci wkrótce i wszystko jéj opowie; zaklinał ją aby była spokojna, zapewniał o swojém przywiązaniu i wdzięczności za tyle ofiar dla niego poniesionych i prosił o przebaczenie.

Jakże z całego serca przebaczyła Marynia wszystko, ona która go tyle kochała, więcéj byłaby przebaczyła byle z nim być tylko. Czekała go niecierpliwie dni kilka, potém na każde stuknięcie zdawało jéj się, że Wiktor wraca. Późniéj zachorował jéj Zygmuś, ona dręczyła się obawą o dziecko i prosiła Boga, aby Wiktor nie powracał, aż Zygmuś wyzdrowieje, aby mu oszczędzić widoku cierpienia dziecka. Wiktora nie było, a Zygmuś zapadał coraz mocniéj; biedną matkę opanowała myśl rozpaczy, że Wiktor dziecka nie zastanie wróciwszy. Ale Wiktor nie wracał! Okropne dni przeszła. Wymodliła jednak u Boga życie syna. Zygmuś zaczął wychodzić z niebezpieczeństwa. Tym czasem nastąpiła zima z wszystkiemi plagami grożącemi ubogim, od Wiktora ani listu ani wieści!

Wiośniane słońce jakże zmienioną oświeca Maryą. Ostatnie wyczerpały się zasoby; — ona już nie jest niespokojna, ale trawiona tą chorobą duszy, która z długiéj niespokojności się wyradza. Mężna kobiéta walczyła z nędzą bez skargi, ale opuszczenie, samotność i tęsknota zabiły jéj męztwo. Jak tylko powietrze się ociepliło, sprzedała ostatnie rzeczy jaką wartość mające uratowane z pożaru, i puściła się w podróż do Lwowa.

VII.

Było to w czasie kontraktów 18**. Ruch niezwyczajny ożywiał Lwów w tym roku. Ekwipaży uwijało się mnóstwo po

ulicach i nadawało miastu pozór większéj stolicy; tłum pieszych płynął po chodnikach, a każdy spieszył, każdemu czas drogi dla zysku czy dla rozrywki. — Wśród tego gwaru postępowała chwiejącym krokiem młoda kobiéta w opyloném długą podróżą odzieniu. Twarz jéj zmęczona i blada piękną była jeszcze, i cała jéj postać odznaczała się szlachetnością mimo ubogiego odzienia. Jedną ręką prowadziła małego chłopczyka, w drugiéj trzymała torbę podróżną pod ciężarem któréj zdawała się uginać potrącana od przechodniów. Postępowała coraz daléj wzdłuż wystaw sklepowych, i nie zważała na wesołe twarze wchodzących i wychodzących z magazynów; — jéj łzawo było przed oczyma i ten ruch, ten zbytek nagotowany dla tych którym uśmiechało się życie, nie raził ją nawet kontrastem, bo nic nie widziała przed sobą!

Ale jakiż jéj cel? Dokądże ona idzie? Sama nie wie. Chce o coś pytać przechodniów, ale słowo kona jéj na ustach. Stanęła aby wypocząć i zebrać myśli; obejźrzała się dokoła nic nie widząc. Aż dziecko jéj wyrwało ją z zamyślenia zapytaniem:

— Mamo, co to jest bilard?

— Gdzie ty to widzisz? zapytała machinalnie.

— Ot tam nad temi drzwiami naprzeciw, jest napisane ogromnemi literami.

Ona zwróciła oczy w tę stronę, a wtém z łoskotem te drzwi się otwarły aż kilka szyb w nich zadźwięczało, wybiegł z nich a raczéj jakby siłą olbrzymią wyparty wypadł na ulicę młody człowiek z rozburzonemi włosami w obdartych sukniach, za nim rzucono stołek, kilka talii kart, kij bilardowy, daléj szklankę z jakimś napojem, i tłum z kilkunastu mężczyzn pchał się za nim przez wązkie drzwi z różnemi wykrzyknikami przekleństwa:

Oszust, oszust, było słychać w gwarze tych głosów; od pół roku nas obdziera!

— Dziś się wszystko wydało!

— Ja wam od dawna powiadałem, że to łotr!

— Szczęście, żeśmy choć dzisiaj odebrali swoje!

— To nie dość, trzeba go kazać wsadzić!

— Jest tu gdzie policyant.

Młoda kobiéta przerażona tą sceną, chciała się cofnąć, ale winowajca szukający ratunku w ucieczce potrącił ją silnie i spojźrzeli na siebie!

— Wiktor!

— Maryniu! jedyne były słowa; — policya wzięła swoją zdobycz, tłum pospieszył w tę stronę, a Marya padła bezsilna na bruku.

Piérwszy przechodzień, jakiś ksiądz litościwy zwrócił się na płacz głośny dziecka i zobaczył ją; przysunął się, podniósł i oparł ją o mur, pod którym padła; Marya odzyskała przytomność i piérwsze jéj słowa były:

— Gdzie on, gdzie Wiktor?

— O kogo się pytasz pani? zagadnął ksiądz.

— Gdzie mąż mój, powiedz pan przez litość, on tu był, jam go widziała, policya go odprowadziła.

— To go nie możesz widzieć w téj chwili biedna kobiéto, odpowiedział ksiądz wzruszony wyrazem obłąkania boleści jaki był w jéj rysach i mowie.

— Gdzież mieszkasz? zapytał znowu?

— Nigdzie, dopiéro przyjechałam. Chcę pójść na policyą, pokaż mi pan drogę przez miłosierdzie; — to pomyłka, jakaś okropna pomyłka być musi, trzeba ją wyjaśnić co prędzéj.

Poszli na policyą, ale jéj nie pozwolono widzieć aresztowanego. Ksiądz jéj nie odstępował, prowadził dziecko i wypytywał go o matce, bo sam nie pojmował nic z tego, co się od kilku chwil w koło niego działo.

Powracając Marya pytała księdza, gdzieby z najmniejszym kosztem przenocować mogła i umieścić się na dni parę. Ksiądz namyślił się chwilę, a potém przeprowadziwszy ją przez kilka wązkich uliczek, wszedł z nią po ciemnych wschodach do nizkiego pomieszkania na trzeciém piątrze. Staruszka pochylona i ledwie trochę widząca przywitała ich z niemałem podziwieniem.

— Proszę kochanéj matki, rzekł do niéj ksiądz, dać gościnność téj pani na dni kilka, wiem że jéj tu braknie wygód, ale znajdzie spokojność i współczucie dla swoich cierpień.

Kilka słów dodanych na uboczu oświeciły staruszkę, która na przeprosiny Maryi odpowiedziała uściśnieniem i zaraz wzięła się do umieszczenia ich w drugim pokoju, który był jéj sypialnym, a sama do piérwszego się przeniosła.

Marya patrzyła tylko przed siebie nieprzytomnie, nie mówiąc ani słowa. Gdy znalazła się samą, padła na kolana i tak noc przetrwała.

Nazajutrz poszła znowu na policyą i po długich korowodach wpuszczono ją do więzienia! Jakież widzenie się to było! Na ławce pod ścianą wilgotnéj izdebki siedział Wiktor; przerzucał rękami jak gdyby karty i mówił sam do siebie. Gdy Marya weszła nie podniósł głowy; ona pobiegła ku niemu, wołała na niego najsłodszym głosem swoim, ściskała jego zimne ręce; on jéj nie poznawał.

— Wygrałem, mówił, wyrywając ręce swoje, — wabank, szóstka naznaczona, to dla Maryi i Zygmusia! Poczekajcie, ja bank daję; — co idzie? bankierska starsza — daléj, daléj — szóstka treflowa naznaczona — zobaczyli ha ha ha!

Próżno Marynia chciała go uspokoić, on ciągle niby karty przerzucał; wyprowadzono ją napowrót obłąkaną z więzienia.

W swojéj izdebce zastała księdza z dzieckiem rozmawiającego; — nie miała siły opowiedzieć mu tego co widziała. Kiedy ksiądz poszedł szukać wyjaśnienia jakiego na policyi, Wiktora prowadzono właśnie do domu waryatów.

Tymczasem Marya powalona chorobą walczyła z śmiercią. W gorączce wołała: Ja żyć chcę, ja żyć muszę, bo cóż będzie z dzieckiem; ratujcie mnie ratujcie, nie chcę umierać! Boże zostaw mnie przy życiu, on niewinny, nie rób go sierotą!

Ale inne były wyroki nieba. Przed śmiercią odzyskała przytomność. Z naj-

spokojniejszém zdaniem się na wolą nieba prosiła o spowiedź, pobłogosławiła dziecko, podziękowała poczciwemu księdzu i staréj matce jego. Prosiła ich aby napisali do jéj siostry i donieśli jéj co zaszło.

Jakoż wkrótce po śmierci Maryi przyjechała Zofia i zabrała z sobą jéj dziecko.

W kilka lat późniéj widziano w szkole sztuk pięknych w D. młodego chłopca z jasnym włosem i bladą twarzą pracującego pilnie nad wykształceniem rozwijającego się talentu do malarstwa. Jego współucznie nie lubili go, bo zawsze był smutny i milczący, i wyśmiewali się z jego nazwiska, którego nie umieli wymawiać.

WIOSNA I ZIMA.

Z Hiawaty Longfellowa.

(Ob. Nr. 14. Rozmaitości.)

W swoim wigwamie podle brzegu,
Podle brzegu zamarzłéj rzeki
Siedział starzec tęskny, samotny;
Włos miał biały jak szmaty śniegu.
Ciemném światłem szczapy gorzały,
Tulił się starzec i drżał cały.
W swój waubeuwion obwinięty,
W płaszcz poszarpany z białéj skóry,
Nic nie słuchając tylko burzy,
Jak gdzieś z rykiem w lasy ciągnęła;
Nic nie widząc tylko prąd śniegu,
Jak wirował, syczał, zawiewał,
Już popiół barwę z węgli ścierał,
Już ogień jego z wolna zamierał,
Kiedy z podwórza cichym krokiem
W drzwi otwarte wstąpił młodzieniec.
W twarzy młodzieńca krew kwitnęła,
Oko słodkie, jak gwiazda wiosną.
A zpod przepaski w okrąg czoła
Pióra i z liściem wonne zioła.
Usta wdzięcznym śmiechem się śmiały,
Blask słoneczny niosły w dom cały.
W ręku zwinięte w wiązkę kwiaty,
Woń wiosenną niosły do chaty.
Ach! mój synu, starzec zawoła,
Wzrok mój szczęśliwy że cię widzi,
Tu obok mnie na macie siadaj,
Gdzie konający płomień świeci;
Tu niech nam wspólnie na powieści
O twych przygodach noc uleci,
O przejźrzanych ziemiach odległych,
A! i mojéj wielkiéj sile,
Czynach wielmożnych i cudownych.

Rzekł i wyciąga dymkę z pochwy.
Dymkę pokoju, dziworodną,
Z wierzchu czerwony krył ją kamień,
A trzcina w piórach ją trzymała.
Dymkę nakłada korą wierzby
Na nią żarzący węgiel kładzie,
Daje gościowi, przychodniowi,
I tak zaczyna pogadankę:
„Gdy ja z mych piersi zionę wkoło
Oddech puszczony w świat daleki:
W kamień obraca żywe płyny
I w lód bezwładny ścina rzeki“.
Syn mu z uśmiechem odpowiada:
„A moja pierś gdy zionie wokoło,
Gdy puszczę oddech w świat daleki,
Ze wszech łąk kwiaty wytryskają,
Ze śpiewem rzeki się ruszają.“
„Gdy ja potrząsnę gęstym włosem,
Rzekł zimny starzec, marszcząc brwiami
Wnet szron i śniegi pędzą zgrają,
Z każdéj gałązki liście lecą,
Tulą się, więdną, umierają:

Bom ja odetchnął, ot i znikły!
Tam z wód jeziora, z trzęsawicy,
Zrywa się czapla, dzikie gęsi,
Ciągną w odległe okolice:
Bom ja rzekł sobie: ot i znikły!
A niechże pójdę w czarne bory
Chować się będzie, gdy mię zoczy
Wszelki zwierz w jamy, w zimne nory,
Ziemia się w krzemień przeistoczy."
„A moje włosy gdy powioną
Śmiejąc się, młody odpowiada,
Wnet bryły w ciepłych strugach toną.
Trawa podnosi świéżą głowę,
Na staw, jeziora, trzęsawiska
Wracają czaple, dzikie gęsi;
Powraca nurek, lotna łyska,
Jaskółka w pędzie równa strzale.
Niechże od wody zwrócę stopę,
Wnet łąki kwiatem się kołyszą,
Od gęstych liści las mroczeje,
Muzyka zwierząt gra pod ciszą."
Gdy tak mówili, noc ubiegła;
Z dalekich królestw od Wabunu
Swojéj stolicy, srebrem, lśniące,
Jak rycerz zbrojny idzie światło,
I woła: patrzcie! to ja, słońce,
Patrzcie, jam z Gizys, wielkie słońce!
Tu język starca już zaniemiał,
Powietrze rosło ciepłém, siłą,
Ponad wigwawem wolno, miło,
Gil czerwony z szczygłem śpiewały.
Strumień rozpoczął gwar wiosenny,
Tam od zbudzonéj świeżo trawy
Wonność pryskała w głąb wigwamu.
Lecz młody Segwam z blaskiem zorzy
Wzrok zatapiając w twarz pielgrzyma,
Dojżrzał twarz jakąś lodowatą.
Ów starzec był Peboan — Zima.

ŻELAZNA DZIEWICA.

W podziemiach kasselskiego zamku „Zwehrenthurm" przechowuje się, jak twierdzi podanie w gminie — po dziśdzień jedno z najokropniejszych średniowiecznych narzędzi śmierci. Jestto olbrzymia postać kobiéca z żelaza czyli tak zwana „żelazna dziewica". Potępieniec, jeźli na niego zapadł wyrok śmierci, jak zwano dziewiczéj, musiał obejmować złowrogą postać w swoje ramiona, lecz zaledwie przywlokł się w jéj pobliże, zaledwie drżące wyciągnął ramiona, zachwiewała się pod nim podłoga, okropna dziewica rozwierała nagle szerokie swe łono i przyciągając żadnym oporem niezłomną siłą ofiarę do siebie, zawierała się z trzaskiem na powrót. Tysiące nożów i sztyletów, nasadzonych w wnętrzu dziewicy, rozszarpywały i krajały pochwycone ciało w tysiączne sztuki, a ukryty mechanizm wyrzucał zdrzazgane na miazgę szczątki trupa w kanał, który zpod zamku wpadał do Fuldy.

Jeszcze o połowie zeszłego stólecia miał w objęciach żelaznéj dziewicy ponieść karę śmierci pewien znakomity szlachcic heski z rodziny Riedeselów, przyjaciel i poufny dziedzicznego księcia a późniejszego Landgrafa heskiego Fryderyka II. Opowiadają, że gdy Fryderyk przestąpił na łono katolickiego kościoła, chciał rozgniewany ojciec Landgraf Wilhelm IV przegrodzić nadal surowemi środki podobnym przestępstwom, i polecił by na cały dwór księcia pilne i baczne mieć oko. I pod ów to czas właśnie znikł powierny księcia Riedesel nagle bez wieści i słychu. Ani się dowiedzieć dało czy żyje, czy umarł, ponura jakaś tajemnica osłoniła niezbadanie dalszy los nieszczęśliwego młodzieńca. Dopiéro w kilka czasów późniéj znaleziono w Fuldzie w miejscu gdzie kanał upływa, palec ludzki ozdobiony złotym pierścieniem; natychmiast rozbiegła się wieść między ludem, że młody Riedesel zginął w ramionach żelaznéj dziewicy.

Opowiadają także, że i w Grabenstein przechowywała się do niedawna w jednéj staréj wieżycy taka sama żelazna dziewica. Zbro-

dzień, skazany „całował dziewicę“ i konał w okrutnych jéj ramionach, zdrzazgany wpadał sztukami w strumień płynący u stóp zpod wieży. Strumień ten spływem dwóch koryt znacznie przy saméj wieży powiększony, miał być niegdyś w tém miejscu bardzo głeboki, dziś jest zupełnie zamulony.

Również i wzniesionéj przed laty wieżycy „*am Thörle*“ w Fuldzie miała znajdować się niegdyś żelazna dziewica.

POD NIEBEM.

(Z Justyna Körnera.)

Niechże ja w trawie, w kwiatach się położę,
I patrzeć będę na niebios błękity,
Jak złoty obłok swém skrzydłem je porze,
Jak orzeł buja w ich bezdenność wzbity.

Ach! owę ciszę błękitu nie zmąca
Żaden tam żagel, ni statek parowy;
Ni Indzka stopa, ni rumak tam trąca
W te szyb lazury swojemi podkowy.

O niech dziś oko nakarmię do syta
Tą nieb przezroczą, czystości przestworzem;
Bo może wkrótce ta wieść nas powita.
Zrobiono skrzydła — i już latać możem!

O wtedy ptacy z tych krain ulecą,
Jak kiedy ryba wymyka z niewodu;
Gdzie dziś skowronek, kędy gwiazdy świecą,
Tam niemy Anglik gotów jąć zawodu.

I stać się może, gdy rano wstanę,
Pojźrzę po niebie, dla czego tak ciemno?
Obaczę jaką kupców karawane,
Co poprzed słońcem przelata nade mną.

Lub widząc krople śród słońca — o dziwo! —
Gdy spojźrzę w górę, by obaczyć tęczę:
To nie dżdżu krople, to beczka z oliwą,
Na któréj w chmurach rozpękły obręcze.

O niechże dzisiaj zadość się napatrzę
Obłokom, niebu, nim będzie za poźno!
Zanim się wszelka poezya zatrze,
I tam, jak u nas — będzie gwarno, mroźno.

Przebaczcie pieśni! co zamiast Ikara
Stawić zachcenie, wróży nieb zamęty;
O bo zaprawdę, to węgiel i para,
Na miłość słońca, chcę wziąć niebo w pęty.

F. Ł.

Piękne odkrycie dla archeologów zrobili Francuzi w Konstantynopolu. Przed 14 dniami kopiąc w pobliskiéj kasarni odgrzebali słup, który za Cesarzów greckich stał na Atmeidanie, czyli dawnym hipodromie. Ze wszystkich starożytnych monumentów, które się utrzymały w tureckiém mieście, słup ten jest najważniejszym. Składa się z trzech splecionych z sobą wężów z bronzu, jest około 25 stóp wysoki i wystawał w górze trzema doskonale wyrobionemi wężowemi głowami. Turcy burząc obrazy, pozbijali wszystkie te głowy, pierwsza ściął, jak opowiadają historycy, sam zdobywca Mahomed. W małém muzeum byłego kościoła św. Ireny pokazują jeszcze po dziśdzień kawał tego łomu. O samém dziele donoszą Enselius i Sozomenus, że je tu sprowadził Konstantyn Wielki z Delfów, i jest to ten sam słup, który połączeni Grecy po bitwie pod Plateą ofiarowali na podstawę złotego trójnoga poświęconego Apolinowi. W autorach klasycznych: w Herodocie, Tucydydesie, Pauzaniaszu znajdują się częste wzmianki o tej wężowéj czyli smoczéj kolumnie. Pauzaniasz król Sparty starał się windykować dla siebie sławę zwycięstwa pod Plateą jedynie przez to, że kazał na kolumnie wyryć dystychon, który w nim wielbił bohatéra walki Platejskiéj. Ale amfikcyonowie oburzeni niesłusznością tego samochwalstwa, nakazali zniszczyć te słowa i uchwalili, ażeby w miejsce tego wyryto imiona wszystkich greckich ludów, które w walce przeciw Persom czynnie występowali. Rumowisko nagromadzone od półtora tysiąca lat na hipodromie, pokrywało dotychczas dolną część uszkodzonéj wielorako kolumny. Teraz okazało się, że na jednéj stronie najniższych dwunastu pierścieni wężowych, wyryte są poczęści bardzo dawnym charakterem różne imiona ludów greckich. Najwyraźniejsze są AMBPAKIOTAI, ΛΕΠΡΕΑΤΑΙ, ΤΕΝΙΟΙ i ΚΟΡΙΝΘΙΟΙ, a zatém imiona mieszkańców Ambracyi, Leprey, Tenos i Koryntu. Szczególniejsza, że dotychczas nie odkryto ani śladu imion Aten i Sparty czyli Athenaioi, Lakedaimonioi; zdaje się, że rdza, która na nich osiadła, uczyniła je nieczytelnemi. Kilku młodych filologów niemieckich, bawiących w Konstantynopolu, zajmuje się zupełném odcyfrowaniem tego pamiętnego napisu z najświetniejszéj epoki greckiéj walki z Persami.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*